ROCZNIK II. Dnia 2. grudnia 1911. ZESZYT XLIX.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

ZYGMUNT MIŁKOWSKI.

O POWSTANIACH RZECZ KRÓTKA.

II.

Nie nader długo czekaliśmy na wznowienie nagonki na „politykę romantyczną", uznającą i propagującą powstania. Zmieniło się jeno nagonki tej miejsce: z Krakowa przeniosła się do Warszawy na podłożu tem samem, targowickiem, zaznaczonem formułą: „Przy Tobie, Panie..." Przejęli je sprzeniewiercy Demokracyi Narodowej, zorganizowanej pierwotnie dla Polski całej, niepodległej, „od morza do morza", jak organizacyę tę przedrwiwał stylista znakomity, wódz „pozytywizmu warszawskiego", zamykający ojczyznę w granicach Kongresówki, przechowywanej na wyłączny użytek polskiej, samej dla siebie, literacko-naukowej fabrykacyi. Wzorem ojczyźnianej wyłączności podobnej było do r. 1889, przez Moskwę (naród i rząd) zapomniane, przez Europę wcale nieznane, przez wyznawców zgody z losem mocno Polakom, których niewola niecierpliwiła, do naśladowania zalecane, w najpółnocniejszym zachodnim kąciku Rosyi europejskiej położone państewko niezależne, pod panowaniem wielkiego księcia a cara rosyjskiego pozostające, F i n l a n d y ą zwane.

Nieznaną ona była Europie do r. 1889 — do setnej wybuchu wielkiej rewolucyi francuskiej rocznicy, uczczonej wystawą powszechną w Paryżu. Na wystawie tej pojawił się pawilonik, w zdumienie przedstawicieli narodów, wystawę zwiedzających, wprawiający. Zdumiewał on doborem estetycznie ułożonych okazów, świadczących o wysokiej kulturalnej i oświatowej wartości społeczeństwa, co po raz pierwszy na apel wobec świata stanęło. Zjawiska tego rozgłos wnet, za pośrednictwem publicystyki wszechświatowej, rozszedł się szeroko. Dowiedziała się o niem Moskwa i również się zdumiała.

Przypuszczać należało, że ją, manifestującą głośno przyjaźń z Francyą, tak w niej ostentacyjnie w momencie owym rozmiłowaną, że, na wystawie, muzyki wojskowe nie popisywały się Marsylianką, bez łączenia tego hymnu narodowego z państwowym hymnem rosyjskim *Boże caria chrani* — przypuszczać więc należało, że Rosyę pawilon finlandzki rozraduje w stopniu najwyższym.

Wypadło inaczej.

Za panowania jeszcze Aleksandra II *istinni* patryoci rosyjscy, w rodzaju owoczesnych Puryszkiewiczów, grafów Bobrińskich i nie mało innych mężów tej miary, niekoniecznie przyjaźnie do samodzielności Finlandczyków się odnosiło. Za cza-

sów już cara, noszącego zaszczytne nazwisko „wyzwoliciela ludu“ (nie przezeń w krajach polskich) wyzwolonego, Finlandya doznawała sporo ze strony urzędników carskich kłopotów. Zawadzała *istinnym* intelektualna wyższość ksiąstewka, przyczepionego do olbrzymiego imperyum. Dotknęła ich do żywego wyższość onego, wykazana tak jasno i dowodnie światu, wobec czego narzuciło się im pytanie, co począć mieli: czy ją uznać i wyzyskiwać na pożytek olbrzyma, jak się samo przez się zrobiło z Kurlandyą, która państwowo imperyum w niemieckich dzierżyła powijakach? — czyli też z Finlandyą postąpić sobie, jak z Polską, obniżając ją do poziomu własnego, zapomocą oddania jej na żer czynownictwu?...

Wobec pytań tych, co Finlandya wskórać mogła na tem, że nietylko przeciwko Rosyi nie powstawała, ale jej w potrzebie, z ochoty własnej, orężną — jak przeciwko Polsce r. 1831 — pomoc niosła?...

Rosya w odniesieniu do Finlandyi, cześć jej kulturalną obniżającej, dwie miała do wyboru metody: austryacką, przerabiającą Polaków na „Austryaków pochodzenia polskiego“ i pruską, narzucającą im wynarodowienie pod hasłem *ausrotten*, wyfilozofowanem bez ogródek przez K. R. E. Hartmanna, a przyjętem bezwzględnie przez ministra wewnętrznej polityki pruskiej, niezapomnianego Bismarka. Obie metody te mają na celu zabezpieczenie się przed powstaniami polskiemi. Ciekawem, ale bez szczególnego znaczenia jest pytanie, tyczące się metody, nazwanej przezemnie pruską. Może ona jest moskiewską, Prusy zaś ją od niej przejęły? Mniejsza o to. Chodzi nam o rozstrzygnięcie zadania: która z nich państwo lepiej ubezpiecza?

Rozpatrzmy się naprzód w austryackiej. Ma ona za sobą doświadczenie, polegające na kombinacyi „wynarodowienia“ z *divide et impera* — kombinacyi, stosowanej ściśle do zaboru działu Polski, przezwanego: Galicya, lat 76, t. j. życie trzech pokoleń.

Zauważyć należy, że w ciągu posiadania Galicyi, obejmującego już wieku półtora bez lat jedenastu, *divide et impera* zmieniło charakter. Do r. 1848 było ekonomicznem; od r. 1848 stało się politycznem, nie od razu wprawdzie, we wschodniej bowiem połaci Galicyi długo jeszcze l i s y i p a s o w y s k a dużą w polityce wewnętrznej odgrywały rolę, słabnąc w miarę, jak, dzięki napieraniu się zaszczepionej przez emigracyę demokracyi o oświatę dla ludu, rozwijało się szkolnictwo, tak elementarne, jak średnie, zaopatrując Ruś w mnożącą się z roku na rok intelligencyę świecką.

Zanim to nastąpiło, metoda pierwotna, stosowana z zaciekłością niezwłocznie po opanowaniu swojej działów rozbiorowych części, owoców pożądanych nie wydała: nie germanizując kraju i nie przywiązując do siebie ludu. Gdy nadeszła po ostatnim rozbiorze Polski, doba Legionów polskich, Bartkowie nasi — zawsze „zwycięzcy“ (pod Esslingiem o mało armii napoleońskiej laurów nie pozbawili) — usłyszawszy o wojskach, przez Dąbrowskich, Kniaziewiczów dowodzonych, zapominając o czuwaniu nad nimi niemiłych szlachcie mandataryuszów austryackich, tłumnie z szeregów austryackich do polskich zbiegali. W legionach szlachta dowodziła, szeregi zapełniali chłopi galicyjscy. W tymże 1809 r., co pod Esslingiem, ciż sami chłopi, do tego Rusini, mieli okazyę sekundowania hufcom austryackim pod Tarnopolem, Wieniawką, Zaleszczykami — zwłaszcza pod Wieniawką — w potyczkach przeciwko powstańcom polskim, poprzedzającym nadejście zwycięskich, pod księciem Józefem, wojsk książęco-warszawskich. Tym razem austryacka — *divide et impera* — metoda próby nie wytrzymała. Po 37 latach panowania nie pozyskała jeszcze Austrya ludu polskiego dla siebie. W czasie wojen napoleońskich, gdy Polski już *de facto* nie było, lecz widmo jej rycerskie słaniało się po świecie, lud polski we wszystkich zaborach, bez rozagitowywania go, przy niej twardo stał.

Odstąpił od niej we 27 lat później: — cisarskim się uznał i cisarskość swoją — przy okazyi powtórnego w Austryi powstania polskiego – zadokumentował rzezią, ohydniejszą, niż humańska, bo od głowy szlacheckiej płatną.

Ta metody państwowej próba powiodła się. Czy w zupełności i na zawsze? — Niekoniecznie. Nie dalej, jak we dwa lata później w mgławicach powstańczych ukazały się znów Dąbrowskich rycerskie widma. Do Legionów polskich na Węgrzech pogarnęła się z Galicyi i innych zaborów, do szlachectwa się z racyi demokratycznej nieprzyznająca i n t e l l i g e n c y a na oficerów i niepiśmienna dezercya chłopska z wojsk austryackich na szeregowców.

Do takiego w tym razie rezultatu metoda ekonomiczna doprowadziła, z racyi od dawna znanej i naukowo sprawdzonej sentencyi łacińskiej: *contra hostem aeterna auctoritas*. Austrya nie troszczyła się dolą ludu, lecz stawiała się wrogo względem Polski, usiłując przypadły na nią dział onej na rzecz swoją na modłę niemiecką wynarodowić. Operacyę tę gabinet wiedeński rychlej, niż Prusy i Moskwa, rozpoczął — nazajutrz po rozbiorze pierwszym, potęgując ją po ostatnim i doprowadzając do r. 1867.

Od tego dla Rakuz roku fatalnego datuje się zmiana *divide et impera* ekonomicznego, demoralizującego społeczeństwo od stóp do głowy, na *divide et impera* polityczne, podszyte patryotyzmem narodowościowym, a zaprawne konstytucyą autonomiczną, zaopatrzoną w § 14.

W takiej istoty rzeczy zmianie znalazła Austrya klapę bezpieczeństwa wobec możliwości powstań polskich.

We względzie tym i Polacy, jak Rusini coś niecoś zyskali: dla zapewnienia państwu pokoju dozorują się wzajemnie; na drodze zaś dozorowania się współubiegać się muszą o względy w regionach wyższych, co jednych i drugich do austryaczenia się z konieczności rzeczy prowadzi.

Zyskują więc, zamiast germanizacyi przymusowej, austryaczenie się samowolne, wzmacniające na rzecz Austryi klapę bezpieczeństwa.

Wypada o tem jeszcze... słówko rzec, powstania bowiem duże mają w sprawie polskiej znaczenie.

KATASTROFA KOLEJOWA I INNE.

Warszawa.

Wszystkie teorye polityczne, oparte na uznaniu konieczności, nieodzowności, a nawet korzyści nierozerwalnego związku Królestwa Polskiego z Rosyą, muszą upaść wobec takich faktów, jak obecne. Wykup kolei Warszawsko-Wiedeńskiej jest dla naszego społeczeństwa ciosem, którego znaczenia nie zdoła zrozumieć, ani ocenić żadna na modłę europejską ukształtowana głowa. Upaństwowienie środków komunikacyi jest przecież, na ogół biorąc, zupełnie słusznym postulatem zdrowej polityki gospodarczej i dobrej administracyi, istnieje bowiem domniemanie, że państwo zmuszone jest i zobowiązane, podlegając kontroli ogółu, zarządzać niemi, zgodnie z jego potrzebami, że, czerpiąc korzyści z ogólnego wzrostu dobrobytu, nie będzie przez wyzyskiwanie jednego źródła swego dochodu osłabiało innych, wreszcie, że jako pracodawca, zdolne jest dać lepsze warunki bytu i lepsze warunki egzystencyi swym pracownikom, niż każdy przedsiębiorca prywatny. Tak się dzieje w normalnie funkcyonujących organizmach państwowych i tak się rzecz przedstawia z punktu widzenia normalnie żyjących narodów. U nas inaczej. Państwowość rosyjska żyje i utrzymuje się chronicznem dewastowaniem własnego kraju, a w wyższym jeszcze stopniu systematyczną dewastacyą kresów. Rząd rosyjski nie rządzi — tylko łupi; to jest jego specyficzna cecha, to jest ten system, o którego niezmiennem trwaniu zapewnił nowy premier dogorywającą trzecią Dumę.

Ściśle też rzeczy biorąc, kolej Warszawsko-Wiedeńska nie przechodzi pod zarząd rosyjskiej biurokracyi, lecz zostanie jej wydana na łup. Z punktu widzenia skarbu rząd robi na tej operacyi bardzo lichy interes, choć na pozór rzecz się wręcz odmiennie przedstawia. Przyspieszenie wykupu połączone jest pono z oszczędnością mnogich milionów, jednakże miliony, dziś wypłacone akcyonaryuszom niewątpliwie nie przyniosą w procencie nawet tych sum, jakie rząd pobierał z dochodów kolei Wiedeńskiej. Wiadomą bowiem jest rzeczą, że w Rosyi koleje państwowe dają stałe niedobory, a niedawna rewizya kolei syberyjskiej odsłoniła przyczyny tego zjawiska, tkwiące również w „stałym, niezmiennym systemie“. — Względy strategiczne, przemawiające jakoby za tą reformą — są prostym humbugiem. Po wycofaniu całego wojska z lewego brzegu Wisły samo objęcie kolei w tych guberniach nic a nic militarnej pozycyi Rosyi nie wzmocni.

Jedyny cel, jedyny motyw leży w owych 15 tysiącach niższych i wyższych posad, dotychczas obsadzonych przez Polaków, a budzących wilczy apetyt ludzi rosyjskich. Jedne z nich są dobrze płatne, inne mogą dawać dobre dochody ludziom, posiadającym lepkie palce, a takich wśród „istinnoruskich“ nie braknie. — Cała wewnętrzna polityka rosyjska obraca się dziś około tej osi: poszukiwania żeru dla czarnej sotni. Kwestya finlandzka, wyodrębnienie Chełmszczyzny, wykup kolei — fakty niby to od siebie odrębne, tym wspólnym kluczem się rozwiązują. Owa banda, łupiąca kraj, żeruje nawet tam, gdzie na pozór niema nic do pożarcia — tuczy się głodem chłopów rosyjskich. Niewątpliwie i w bieżącym głodowym roku Hurko i Lidwal znajdą naśladowców, zachęcani bezkarnością tamtych.

Zbyt lekko traktowałby obecną katastrofę kolejową ten, ktoby sądził, że łączy się z nią jedynie strata urzędów dla pewnej grupy Polaków. Choć wyrzucenie 15.000 rodzin na bruk w każdem społeczeństwie odczutoby jako publiczną klęskę, u nas potęguje się ona jeszcze rozbiciem licznych instytucyi o ściśle społecznem znaczeniu. Wzdłuż całej linii istnieją szkoły kolejowe, dobrze uposażone i umiejętnie kierowane; istnieje bardzo szeroko rozgałęziona i pomyślnie się rozwijająca kooperatywa spożywcza urzędników kolejowych, pozakładane dla nich, a częścią i przez nich biblioteki i czytelnie — jest — słowem, cały żyjący organizm, małe społeczeństwo, które zostanie doszczętnie rozbite na drzazgi i gruzy, — zwalając cały ciężar swej nędzy i swego wykolejenia na barki zbiedzonego, dręczonego i okradanego wciąż społeczeństwa.

To, co się stanie, będzie tylko zwiększonem i jaskrawem powtórzeniem tych codziennie się powtarzających katastrof ekonomicznych, tej drobnostkowej, lecz na szeroką skalę prowadzonej dewastacyi, jaką kraj nasz od szeregu lat znosi. Dowolne zamykanie fabryk, tak, jak dowolne zamykanie szkół i instytucyi oświatowych, tak samo wreszcie dowolne, a bynajmniej nie ustające zamykanie pod klucz, lub wysyłanie na wschód ludzi pracujących i utrzymujących rodziny — toż to nigdy niewysychające źródło wciąż wzmagającej się nędzy. Jeżeli ktoś mimo to robi z rządem, lub na rządzie dobre interesy, to jedynie dlatego, że umiał się przystosować do „niezmiennego systemu“ i na zasadzie „do ut des“ przystąpił do spółki złodziejskiej, ryzykując zawsze, że strona silniejsza i uprzywilejowana po pewnym czasie zerwie umowę, sprzeniewierzy się wzajemności i pogrąży go dla własnego zysku.

Połowicznie przeprowadzane rewizye senatorskie dostarczają na to niemało dowodów. Skandal trzeciego mostu na Wiśle nawet ślepym musiał oczy otworzyć. Ciężar odpowiedzialności spadł na dostawców, fabryka Rudzkiego została zamknięta, milionowe nadużycia wykryto częściowo oczywiście, bo bez ujawnienia wszystkich wspólników; mostu jak nie było, tak niema, miasto cierpi skutkiem zatamowania rozwoju całej dzielnicy, a wykończenie budowy zapewne nie mniej jednostek zbogaci kosztem ogółu, niż jej dotychczasowe prowadzenie. Ludzie się zmienili, ale system jest niezmienny. Tak wyglądają zbliska owe korzyści ekonomiczne, spływające na nasz kraj z przynależności jego do Rosyi.

Dodajmy jeszcze do tego zalew litwacki, zagarniający w swoje ręce cały ruch handlowy, w szczególności handel hurtowny, przez co utrzymuje w szachu wytwórczość krajową, monopolizujący cały ruch budowlany po miastach, pozbawiając pracy masy robotników i rzemieślników naszych

dla protegowania swojej rzeszy fuszerów — a będziemy mieli pełny obraz tego rozkwitu pomyślności materyalnej, jakim się cieszy obecnie Królestwo Polskie pod błogiemi rządami caratu.

Mniej łatwe do obliczenia, lecz niemniej dotkliwe są klęski moralne. I tu takie samo spustoszenie. Stopniowe zamykanie wszystkich uczciwych dróg pracy jest propagandą złodziejstwa na wszystkich stopniach, począwszy od bandytyzmu browningowego na publicznych drogach i ulicach wielkomiejskich, do obławiania się milionami na mostach. — Opinia publiczna przymiera. Głos niezależny nie jest cierpiany. Czy ktoś wytyka nadużycia władzy, czy nadużycia duchowieństwa, czy wreszcie nadużycia spekulacyi naszych gości ze Wschodu — zmuszony bywa do milczenia karami, procesami, więzieniem, lub ekonomicznym bojkotem. Kto chce żyć i oddychać, do jakiejś szajki przystać musi. W niej znajdzie oparcie, schlebiając jej i zamykając oczy na jej błędy i występki. Na takiej glebie, jak zły chwast, rozwija się i krzewi wszelkiego rodzaju ugoda, boć jeżeli już wchodzisz w kompromis z sumieniem, dlaczegoż nie przystać do szajki najpotężniejszej?

W prasie tylko ugoda ma głos, — to też popularna, czy niepopularna, w rzeczywistości ona zabarwia peryodyczną strawę umysłową, jaką się przeciętny czytelnik karmi. Na pisma sypią się kary prasowe gradem — a które z nich materyalnie słabsze, upada pod ich ciężarem. Niebawem prasa lewicowa całkowicie istnieć przestanie; wszyscy jej przedstawiciele już stawali przed kratkami, albo przed niemi staną, albo też dostali się za kratę. Dotychczas obronną ręką wychodząca *Prawda* doczekała się również pierwszej konfiskaty. Cenzura stała się wrażliwą, jak za czasów Hurki; nawet takie wyrażenia, jak „haniebny rusycyzm“, wydają jej się karygodne. W takim stanie rzeczy łatwą grę ma taki p. A. Nowaczyński, który ni w pięć ni w dziewięć „à propos de hottes“ wystąpił z gloryfikacyą margrabiego Wielopolskiego i jego kierunku, na prędce „margrabizmem“ nazwanego. Sensacya była nie mała; zrobiło się trochę huczku polemicznego, ale że jeden z dyskutujących może mówić donośnie i śmiać się z przeciwnika całą gębą, inni zaś — oponenci — mają usta zakneblowane, więc całość wygląda tak, jakoby Wielopolski był istotnie jakimś patronem ojczyzny, któremu tylko malkontenci bezsilnie bluźnią. — Tymczasem od niepamiętnych czasów nie było tak mało u nas gruntu i podstawy dla polityki ugodowej, jak obecnie, gdy doszczętnie zdaje się rozwiewać utopia, że choćby najskromniejszy, najściślej politycznie odbarwiony program pracy organicznej jest wykonalny pod rządem barbarzyńskim. Można ugodę głosić zawsze, ale dziś nie można jej głosić w dobrej wierze.

Pozostaje jeszcze do wytłómaczenia fakt, dlaczego w tych ostatnich tygodniach, po zamachu i po zmianie gabinetu, ciężar ucisku, już i tak potworny, tak nagle się zwiększył, że nawet na nowo w Cytadeli wieszać zaczęto, choć to już od pewnego czasu wyszło ze zwyczaju? Sądzę, że to jest w związku z zamachem kijowskim i jego następstwami. Dziś wyjaśniło się już całkowicie, że zamach ten nie miał ani trochę rewolucyjnego charakteru, a jeżeli zdyskredytował władzę, to w równej mierze — tak samo, jak sprawa Azefa — odsłonił wewnętrzną niemoc rosyjskiej rewolucyi. Prowokacya, jak rak, zżarła obie przeciwstawiające się sobie siły, obezwładniła obie i jest górą nad niemi. Zamach kijowski i późniejsza rewizya ochrany ujawniły jej potęgę. Wytępić ją prawdopodobnie tak samo przechodzi siły Kokowcewa, jak wytępić złodziejstwo przewyższało siły Stołypina.

Dlatego to o rezultatach rewizyi cicho u nas, dlatego system trwa niezmiennie, gdyż zmiany mogłyby być niebezpieczne, że zaś jednak ludzie się zmienili, na miejsce już nasyconych przychodzą nowi z dobrym apetytem, więc gorliwość służbowa się zdwaja, patryotyzm karyerowiczów szuka pola popisu w walce z bezbronnymi. Stołypin podobno 70-ciu krewnych ulokował na dobrych posadach. Kokowcew ma pewno nie mniej kandydatów na urzędy (słychać, że zięć jego ma zostać prezesem cenzury w Warszawie)... Jednym nadzieja awansu, drugim strach przed dymisyą dodaje ostrogi, a te wszystkie harce odbywają się na naszych plecach. „Po nas potop!“ — mówi biurokracya rosyjska, a my dodawać musimy w duchu: „Przyjdź, ach, przyjdź, potopie!“



L. W.

Z NAD WARTY I ODRY.

II.

Sprawa kandydatur poselskich.

Od czasu napisania poprzedniego listu coś się zepsuło w tej wzruszającej harmonii, jaka zapanowała była między poszczególnemi grupami politycznemi polskiemi w Poznańskiem. Kompromis między kasynem obywatelskiem — organizacyą konserwatywną — a grupą narodowo-demokratyczną uległ znacznemu nadwątleniu, skutkiem sporu o osoby kandydata w jednym z okręgów. Kompromis był zawarty na następujących zasadach. Miał on objąć tylko Poznańskie, przyczem porozumienie kompromisowe miało dotyczyć tylko tych okręgów, w których dawni posłowie nie mieli już więcej kandydować. Co do innych okręgów, to każda z dwóch grup miała zachować stan posiadania przy solidarnem poparciu innej.

Według informacyi pierwotnych, miały być obsadzone nowymi kandydatami cztery okręgi i tymi konserwatyści chcieli się podzielić z narodowymi demokratami porówni. Tymczasem wyjaśniło się, że dwaj posłowie, którzy nosili się z zamiarem nie kandydowania, zamiar ten cofają i będą się pozornie ubiegali o mandaty. Pozostały tedy dwa okręgi do podziału — żnińsko-szubiński, po Leonie Czarlińskim i inowrocławsko-strzelnieńsko-mogileński po Dziembowskim. Ale w obydwuch sytuacya złożyła się nieprzychylnie dla konserwatystów. W pierwszym nie mogli oni przeciwstawić nikogo księdzu Kurzawskiemu z Pakości, człowiekowi posiadającemu znaczny mir na miejscu, i nie zaliczającemu się do obozu konserwatywnego. W drugim musieli zgodzić się na kandydaturę adwokata Trąpczyńskiego, działacza wprawdzie bezpartyjnego, niemniej jednak bliższego narodowym demokratom, anizeli konserwatystom.

Tak tedy kompro is nic nie dał konserwatystom i nawet nie zapobiegł takim przykrym niespodziankom, jak zjawienie się kandydatury z poza grup, związanych kompromisem. Oto na wiecu przedwyborczym w Gnieznie kandydat samodzielny, znany fabrykant wódek, Kasprowicz, otrzymał daleko więcej głosów od kandydata komitetu powiatowego, ustalonego na podstawie kompromisu. Ten „skandal“ udało się załagodzić i Kasprowicz cofnął swą kandydaturę, ale niezadowolenie konserwatystów wciąż rosło, aż wreszcie wybuchło z okazyi mianowania kandydata na okręg krotoszyńsko-koźmiński.

Dotychczasowy poseł z tego okręgu po pewnem wachaniu zdecydował ostatecznie nie ubiegać się o mandat. Z tego chcieli skorzystać konserwatyści, aby okręg obsadzić własnym kandydatem, lecz narodowi demokraci stanowczo się ich planom oparli, wysuwając kandydaturę dra Antoniego Chłapowskiego. Konserwatyści nie mogli się z tem zgodzić, zwłaszcza, że uważają dra Chłapowskiego za wielkiego „radykała“ (w znaczeniu poznańskiem) i wysunęli własną kandydaturę w osobie Kazimierza Lipskiego. W tym więc okręgu jest dwóch polskich kandydatów, wzajemnie zwalczających się, choć kompromis konserwatystów i narodowych demokratów gdzieindziej zerwanym nie został.

Oczywiście, ten zatarg pomiędzy dwiema grupami polskiemi w Poznańskiem żadnego poważniejszego znaczenia nie ma, jak niema w gruncie rzeczy, żadnych zasadniczych różnic między tamecznymi konserwatystami i narodowymi demokratami. I jedni i drudzy stoją na gruncie państwowości pruskiej, i jedni i drudzy jaknajchętniej uprawialiby czynną politykę ugodową, gdyby tylko rząd chciał ich do tego bodaj jakimś drobnym ochłapem pobudzić, ani jedni ani drudzy nie posiadają żadnego programu narodowego dla całości ziem polskich w zaborze pruskim, choć i jedni i drudzy pozorują każdą swą zdradę interesów szerokich mas ludności polskiej względami „narodowymi“.

„Partye“ w Poznańskiem, jak zresztą i w całym zaborze pruskim — to małe, dobrane i zgrane kliki, którym nieznośny ucisk narodowościowy pozwala wyzyskiwać dla interesów obszarników nastrój opozycyjny mas ludowych. Kliki te najczęściej posiadają ośrodek w postaci pisma, dokoła którego grupują się ich zwolennicy. Jest więc klika „Dziennika Poznańskiego“, czyli ośrodek partyi konserwatywnej, jest również klika „Kuryera Poznańskiego“, czyli partya narodowo-demokratyczna, ale o szerszej organizacyi partyjnej, opartej na podstawach jakichś wyborów, jakichś kół, oddziałujących na zarząd partyi i kontrolujących jego czynności, niema mowy.

Jeszcze w Poznańskiem, gdzie ilość intelligencyi polskiej — bądź szlacheckiej, bądź reprezentowanej przez zawodowców — jest dość znaczna, „partye“ miejscowe formalnie posiadają pewną, zwartą, nad wyraz szczupłą organizacyę. Ale w Prusach Zachodnich i na Śląsku redaktorowie pism, wraz ze swymi najbliższymi przyjaciółmi, w zupełności zastępują organizacye partyjne. Tak Kulerski lub — jeszcze bardziej — Napieralski, stali się wprost dyktatorami na terenie swojej działalności, rozporządzając wpływem na licznych odbiorców i czytelników wydawanych przez siebie pism. I jeśli dostawali się po parlamentu, to jedynie tylko dzięki wpływowi swych organów, nie zaś wskutek zabiegów organizacyi partyjnej, bo ta nie istniała.

Ani Kulerski, ani Napieralski tym razem stanowczo nie chcą kandydować, co zresztą nie jest żadną niespodzianką. Natomiast wielką niespodziankę sprawił i zwolennikom i przeciwnikom Korfanty, który, po bardzo energicznych zachodach w celu zapewnienia sobie mandatu z dotychczasowego okręgu (katowicko-zabrskiego), wydał list otwarty, w którym kandydatury tej zrzeka się nieodwołalnie. Tłómaczy on wprawdzie, że zaniechanie zamiarów dotychczasowych wywołane zostało względami pracy miejscowej, potrzebą obecności na gruncie Górnego Śląska, jaknajwiększej liczby sił organizatorskich, pragnieniem zajęcia się pracą kulturalną itd. Ale wszyscy zrozumieją, że są to próżne wykręty i że coś zgoła innego zmusza świeżego narodowego demokratę do patetycznych tyrad o kwaśnych winogronach posłowania. Zakrzątnąwszy się około prac przygotowawczych do zdobycia mandatu, p. Korfanty zoryentował się, że dawna jego popularność minęła bez śladu i że jego nagłe przejście do kliki p. Napieralskiego zra-

ziło doń gruntownie robotników, stanowiących większość jego wyborców. Wobec kontragitacyi narodowych demokratów i wytężonej pracy P. P. S., szanse jego wyboru mocno się zachwiały. Zrzekł się więc mandatu, bo musiał.

Wobec tego, w okręgu katowicko-zabrskim będzie kandydował p. Wojciech Sosiński, za którym opowiedzą się i robotnicy narodowo-demokratyczni, jako za „robotnikiem". Pogarsza to szanse mandatu P. P. S., Józefa Biniszkiewicza, rozwijającego bardzo energiczną agitacyę na całym szeregu wieców. Niebezpieczeństwo wyboru Biniszkiewicza było tą najsilniejszą pobudką, jaka zniewoliła Korfantego do ustąpienia, a kierowników obozu polsko-klerykalnego do wysunięcia „robotniczej" kandydatury. Fikcya reprezentowania przez berlińskie „Koło Polskie" wszystkich stanów zostałaby wzmocniona przez wybór Sosińskiego, ale obecność jego w „Kole Polskiem" niczem by się nie przyczyniła do powstrzymania większości tego klubu od polityki, wręcz wrogiej interesom ekonomiczno-społecznym mas ludowych. Wszak i Korfanty i Napieralski byli wybrani głosami robotników polskich, a jednak nie przeszkodziło to „Kołu Polskiemu" głosować za reformą finansów w duchu junkrowskim, za cłem na zboże i bydło, za podatkiem od tytoniu, za podwyższeniem listy cywilnej, a przeciwko podatkowi od spadków, obowiązującemu warstwy najzamożniejsze. Obecność Sosińskiego nic nie pomoże, jak nie pomogły demokratyczne mowy Korfantego i Wajdy, po których następowało antydemokratyczne głosowanie całego „Koła".

Przyszłe „Koło" berlińskie będzie miało mniej dziennikarzy w swem gronie z powodu ubytku Napieralskiego, Korfantego i Kulerskiego. Ale za to wzmocni się w niem zastęp księży, którzy będą stanowili prawie trzecią część jego składu. Wzmocni to niewątpliwie i ciążenie „Koła" do klerykalnego centrum, stale uważanego za sojusznika Polaków w parlamencie, pomimo coraz wyraźniejszego hakatyzmu centrowców.

Jakkolwiek dawniej dość częste głosowanie centrowców za kandydatami polskimi w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich w ostatnich czasach zdarza się tylko wyjątkowo i sporadycznie, to jednak w obozie polskim nie brak wystąpień na korzyść centrum. Dają się słyszeć głosy, ze Polacy są obowiązani ułatwiać centrowcom wybór w okręgach, gdzie centrowcy walczą z innymi kandydatami niemieckimi. Do takich okręgów należy w Poznańskiem leszczyńsko-wschowski, gdzie centrowcy stawiają swego kandydata, ale mają szanse powodzenia tylko wówczas, jeśli Polacy poprą ich już w pierwszem głosowaniu. Tymczasem regulamin, obowiązujący polskie władze wyborcze, wymaga, aby przy pierwszym głosowaniu popierać kandydata polskiego i dopiero przy wyborze ściślejszym tego czy innego z kandydatów niemieckich. Otóż „Dziennik Poznański" występuje za poniechaniem tej zasady w okręgu leszczyńsko-wschowskim, gdyż tam centrowiec bez poparcia Polaków przy pierwszem głosowaniu nie dojdzie do ściślejszego wyboru i zostanie wybrany hakatysta. Jednakże władze wyborcze, licząc się z opinią ogółu, nie chcą od tej zasady odstąpić, rozumiejąc, że zrobienie jednego wyjątku musi pociągnąć za sobą i dalsze.

Chodzi o to, że centrowcy uważają, iż Polacy powinni być im niezmiernie wdzięczni za to, że posłowie centrowi nie głosują za hakatystycznymi wnioskami rządu. Domagają się oni, wzamian za to, głosowania wyborców polskich za centrowcami nawet tam, gdzie Polacy mają poważne szanse wyboru i sprzeciwiają się stawianiu polskich kandydatur na Śląsku, zwalczając je w sposób jaknajbardziej stanowczy, do tego wspólnie z hakatystami. Wobec niemniej silnego w zaborze pruskim klerykalizmu żądania centrowców spotykają się z sympatyą w społeczeństwie polskiem i tylko opór z dołu uniemożliwia te ustępstwa na korzyść centrowców.

Prąd antycentrowy idzie głównie z zachodu, z tych wielkich ośrodków robotniczych Westfali i Nadrenii, gdzie Polacy na własnej skórze najdotkliwej odczuwają hakatyzm centrowców. Codzienna walka z księżmi germanizatorami, odmawiającymi Polakom wszelkich praw języka polskiego w kościele i wynaradawiającymi ich w swoich stowarzyszeniach, usposabia tamtejsze organizacye polskie bardzo wrogo względem centrum. I to ostatnie ponosi tam skutki doraźne swego hakatyzmu.

W całym szeregu okręgów Westfalii i Nadrenii Polacy, głosując za własnymi kandydatami, nie dopuszczają centrowców do ściślejszych wyborów i w ten sposób ułatwiają zwycięstwo ich przeciwnikom. Otóż organ centrowy „Schlesische Volks-Zeitung" (organ otwarcie antypolski), domaga się, aby tym razem Polacy odstąpili od własnej kandydatury w Westfalii i Nadrenii, aby nie przeszkadzać centrowcom. Tymczasem kandydatura ta już została ogłoszoną. Na całym zachodzie Niemiec, we wszystkich okręgach, posiadających większą liczbę Polaków, kandydatem polskim jest Józef Chociszewski.

W gruncie rzeczy kandydatury polskie na zachodzie chybiają celu. Wprowadzono je właściwie dla obliczenia sił polskich, ale tego nie osiągnięto, ponieważ tylko mniejszość polska głosuje za Polakiem, nie mającym żadnych szans wyboru, większość zaś popiera od razu któregoś z kandydatów niemieckich — dawniej centrowca, w ostatnich czasach coraz częściej — socyalistę.

PROLOG DRAMATU.

Daleki krajobraz. W głębi sceny wzgórza i drzewa. Z pośród drzew wybiega ścieżka, która się rozdwaja. Jedno jej ramię biegnie w dół, na łąki kwietnie, drugie w górę i jest, im wyżej, coraz to bardziej kamieniste, coraz to bardziej strome.

(Z głębi wychodzą ON i ONA).

ON. Patrz, rozkwitły smukłe, złote dziewanny na miedzy.

ONA. Pochylają się ku sobie i mówią coś mową najcichszą.

ON. Jak ty i ja.

ONA. Jak ty i ja.

ON. Przelata lekki, lekki wiatr nad nami.

ONA. Usiądźmy, zaraz wiatr wpadnie między gałęzie i zaszumi drzewo. Posłuchajmy, co nam szumi.

(Siadają pod drzewem).

ON. Szumi to, co jest w nas.

ONA. Szumi to, co jest dokoła.

ON. Świat jest jasny, dzisiaj jasny przynajmniej.

ONA. Po wzgórzach ścielą się blaski i tworzą się z nich niby schody świetliste.

ON. Tak, prawda, schody świetliste. I wydaje mi się, że wstępujemy po nich w wielką jasność.

ONA. W jasność dusz wyzwolonych.

ON. W łaskę jedynej miłości.

ONA. Jest nam dobrze i lekko. Czy jest jeszcze coś poza nami? Wydaje mi się, że pod niebem przychylnem jesteśmy tylko my dwoje, jak na zaczarowanej wyspie miłości.

ON *(śmiejąc się).* Obcy przybysz wtargnął już na naszą wyspę. Jak odeprzeć najazd?

(Na drodze ukazuje się przechodzień I, dźwigając na ramionach wór zgrzebny, ciężar nad siły).

ONA. Ach, jakiż smutny ten przechodzień! Patrz, jak ugina się pod swym ciężarem, jak pot ścieka mu po twarzy wynędzniałej! Naprawdę, to najazd cierpienia na naszą jasną dziedzinę!

ON. Jak nabrzmiały mu mięśnie, jakie ma oczy przekrwione. Z jego dziurawych trzewików wyglądają stopy poplamione czemś ciemnem... To krew i kurz zmieszane na rozranionem ciele.

ONA. Patrz, on nie ma już sił, chwieje się, on zaraz upadnie.

(PRZECHODZIEŃ I pada — ON i ONA podnoszą go).

ONA. Biedny przechodniu, spójrz, jak pięknie i jasno dokoła. Niech cię ten widok orzeźwi, niech doda ci sił.

PRZECHODZIEŃ I. Oczy moje są zamglone z wytężenia. Nie widzę nic dokoła. Zaledwie mogę odróżnić ścieżkę, którą muszę iść długo, tak okropnie długo. Iść i dźwigać ciężar nad siły.

ON. Bracie znużony, czy nie możemy pomóc ci donieść twój ciężar?

PRZECHODZIEŃ I. Nie, nie, dziś mi pomożecie, a któż pomoże mi jutro, kto za mnie udźwignie choćby połowę ciężaru? Sam będę musiał nieść go do grobu. Wolę nie zaznać ulgi na chwilę, by potem tem srożej nie przygniótł mnie ciężar.

(Odchodzi, powłócząc nogami z trudnością).

ON. O jakiż cień padł na nasze szczęście. Z niechęcią patrzę na piękno ziemi.

ONA. Już nie radują mię kwiaty. Lecz oto znowu ktoś idzie. Nie, może to jedzie wóz. Coś tak dziwnie brzęczy i szczęka.

ON. Zdaje mi się, że to idą ludzie.

(Wchodzi, otoczony żołnierzami, więzień w kajdanach na rękach i nogach).

ON. Co za widok! Spętano wolę człowieka. Idzie obciążony łańcuchami i po raz ostatni pieści wzrokiem siną dalekość. Przemów do niego.

ONA. Więźniu, więźniu, patrzymy na ciebie, by zapamiętać twe rysy i bierzemy w serca nasze twoje cierpienie. Nie smuć się, spójrz na słońce!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY. Nie wolno rozmawiać z więźniem!

WIĘZIEŃ. Nie chcę patrzeć na słońce, wieczny zmierzch będzie w mojej celi.

ŻOŁNIERZ *(bijąc go kolbą karabina w plecy).* Milcz!

(Przechodzą. — ON i ONA siadają znowu pod drzewem).

ON. Słuchaj, jak znów szumią drzewa!

ONA. Nie chcę słuchać. Wydaje mi się, że w tym szumie łagodnym słyszę brzęk kajdan. I ten brzęk z bólem odzywa się we mnie. Patrzmy na szafirowe niebo.

ON. Nie, nie mogę patrzeć. Wydaje mi się, że to sklepienie więzienne, które pięknie pomalowano. Pomalowano po to, byśmy wszyscy zachowali biedne złudzenie wolności.

ONA. Lecz my wiemy, że na świecie jest człowiek uwięziony.

ON. A dopóki jeden człowiek jest więźniem, dopóty wszyscy jesteśmy w niewoli. W niewoli, chociaż patrzymy na słońce.

ONA. On nie może wyjść na słońce.

ON. W jego celi jest wieczny zmierzch.

(Ukazuje się PRZECHODZIEŃ II).

ONA. Znowu idzie człowiek bardzo strudzony. Na ciele ma łachmany, wargi ma popękane i suche, twarz ziemistą. Ten człowiek musi być chory. Powiedz, przechodniu, pewnie tęsknota do pól szerokich wygnała cię z domu?

PRZECHODZIEŃ II *(siada z trudnością na trawie).* Ja nie mam wcale domu.

ON. Gdzież mieszkasz, przechodniu strudzony?

PRZECHODZIEŃ II. W rowie przydrożnym, lub pod płotem.

ON. Spojrz dokoła, niech te łąki i lasy będą twem dziedzictwem, wydziedziczony!

PRZECHODZIEŃ II. Tak, lecz głowa moja jest w gorączce, a kamień lub trawa wilgotna nie daje jej spocząć wygodnie.

ONA. Weź oto najpiękniejsze kwiaty, które zerwałam dziś rano.

PRZECHODZIEN II. Dajcie mi lepiej chleba.

ON. Nie mamy chleba przy sobie, wyszliśmy z domu lekko i bez troski na połów naszego szczęścia. Lecz zdobyczą naszą jest cudzy ból. Możemy dać ci pieniądz, niedaleko jest wioska,

którą wyminęliśmy, spiesząc się przed siebie. Możesz tam dostać dach i strawę, głodny człowieku.

(PRZECHODZIEŃ II dźwiga się).

PRZECHODZIEŃ II. Dziękuję wam. Jutro, bezdomny, głodny i chory, nanowo zacznę cierpieć. Lecz dziś spocznę przynajmniej.

(odchodzi)

(ON i ONA stoją zamyśleni. Na drodze ukazuje się PRZECHODZIEŃ III).

ON. Znowu idzie ku nam cudzy smutek.

ONA. Wszelki smutek cudzy to jest smutek nasz.

ON. Prawda. Ten nowy nasz smutek, który się zbliża, zdaje się być lżejszym od innych. A może właśnie dlatego cięższym...

ONA. Może właśnie dlatego cięższym. Zrzuć ciężar z bark strudzonego, wypuść więźnia na wolność, nakarm głodnego, wyzwol ich ciała — a zapanuje w nich radość.

ON. Tak, trzeba wyzwolić ich ciała, by dusza ich mogła ujrzeć piękno i zacząć wstępować po schodach świetlistych.

Lecz patrz-no, co to za dziwak. Na dworze jest zupełnie ciepło, a on ma na sobie kożuch zimowy. Powiedz-no, przyjacielu, czy masz febrę, żeś się tak ciepło ubrał?

PRZECHODZIEŃ III. Nie, nie mam febry, lecz ciągle marznę. Zimno mi wśród ludzi.

ON. Pewnie ludzie byli źli dla ciebie?

PRZECHODZIEŃ III. Gdybyż byli źli! Ale oni są tylko obojętni. Nie obchodzę ich nic. Wymijają mię, nie widząc mnie wcale. Każdy jest zajęty własną troską i pracą. Któż mię ogrzeje na piersi przychylnej? Czuję się w próżni lodowej. Brr, jaki mróz! Uciekłem z ludnego miasta, bobym zamarzł.

ON. Czyż w ogromnem, ludnem mieście nie znalazłeś dłoni przychylnej?

PRZECHODZIEŃ III. W ogromnem, ludnem mieście można skonać, a nikt nie zatroszczy się o to. Nie jestem przekupniem śmiechu, ani łatwej zdobyczy. Nie jestem potrzebny ludziom. Marłem z głodu, a nie nakarmili mię, byłem chory, a nikt nie przyszedł podać mi kubka wody i poprawić posłania. Byłem smutny, a nikt mię nie pocieszył. Pragnąłem ciepła przywiązań, a zanurzono mię w przerębel. Brr!

ON. Tak dłużej być nie może na świecie.

PRZECHODZIEŃ III. Nigdy nie będzie inaczej. Będzie zawsze zimno.

ON. Czy nie przyjmiesz ciepłego uścisku naszych dłoni?

PRZECHODZIEŃ III *(otulając się w kożuch).* Ho, ho, nie dam się złapać! Udajecie, żeby mię tem okropniej oszukać.

ON. Ależ nie udajemy, możesz nam zaufać. Kochamy i chcemy dawać miłość.

PRZECHODZIEŃ III. Żartuj zdrów, obcy panie. Nie mam czasu, muszę obmyśleć środki przedostania się na księżyc, może tam lepiej, niż u was.

(Oddala się, szczelnie otulony w kożuch).

ONA. Byliśmy na zaczarowanej wyspie miłości.

ON. Otoczyło nas morze smutku. Trzeba teraz iść i szukać. Nie spoczniemy już pod drzewem cienistem.

ONA. Nie spoczniemy już więcej, bo w szumie jego brzmi skarga tych, co są smutni.

ON. Pójdziemy przed siebie, lecz wszędzie ze smutnych oczu ludzi będzie wyzierała krzywda.

ONA. Pójdziemy przed siebie, taka pociągająca, taka szeroka jest dal!

(Dochodzą do rozstaju).

ON. Oto rozdwaja się droga. Biegnie ścieżka jedna na łąki kwieciste. Pełno na nich rumianków o złotych sercach, bratków polnych, fioletowych szałwii. Tak miękka, tak łagodnie zielona trawa otacza je zastępami swych źdźbeł! A ta druga ścieżka wspina się z utrudzeniem wielkiem na strome zbocza. Pełno na niej żwiru i kamieni, nie ma tam ani jednego drzewa, ani krzewu, któreby nas przygarnęły w swe gałęzie życzliwe w czas spieki, lub słoty!

ONA. Którąż ścieżką pójdziemy — w dół, czy w górę?

ON. Nie wiem. Pomyślmy o tem. Stańmy przy tym kamieniu na rozstaju, rzućmy okiem na drogę przebytą i na drogę, którą przebyć mamy.

(Stoją zamyśleni, trzymając się za ręce).

(Z za grupy drzew ukazuje się PANI SŁONECZNA w złotej odzieży).

PANI SŁONECZNA. Pójdźcie za mną!

ON. Dokąd nas powiedziesz, Pani Słoneczna?

PANI SŁONECZNA. Powiodę was na wielki trud, w którym łamie się ciało, jak rusztowanie, przywalone zbyt ciężkim stosem kamieni. Powiodę was na zmaganie się wielkie z duszami, które macie dla mnie zniewolić. Powiodę was w zamęt bitew, wśród których zdobędziecie łaskę bólu najwyższego, a ten was na wieki od małości wyzwoli.

ONA. Szczęście moje strwożone przed bólem się wzdryga.

ON. Radośnie wyprężają się moje bary — dajcie mi dźwigać!

ONA. Serce moje zamiera na myśl o cierpieniu ukochanych!

PANI SŁONECZNA. Pójdziecie ku mnie przez cierpienie własne i waszych ukochanych cierpienie. Pójdziecie ku mnie przez śmierć ukochanych i własną śmierć. Pójdziecie ku mnie po drodze uciążliwej, a jeżeli zemdlejecie na niej, to przez słabość ciała, nie ducha.

ON. Siła gra we mnie tryumfalnie. Chcę zwyciężać!

PANI SŁONECZNA. Przeto będziesz zwycięzcą nawet wtedy, gdy zginiesz.

ONA. A ja, czy zginę przynajmniej z nim razem?

PANI SŁONECZNA. Nic nie wiem, przestańcie się kochać dla siebie. Ukochajcie się w imię moje. Imieniem mojem się otoczcie i moc swoją wzmóżcie. Oddajcie mi wszystko, co kochacie. Nic we mnie nie zginie, lecz odnajdzie się wszystko w glory słonecznej.

ONA. A czy wzejdzie promienność twoja w oczach tych, co są smutni?

PANI SŁONECZNA. Przyjdzie czas, gdy zbudujecie ciało moje na ziemi, i zstąpię, i będę z wami. Odsłaniam wam pierwszy stopień. Idźcie do tych, co są smutni. Idźcie do tych, którzy krzywdzą i wytraćcie ich, jak zły kąkol w zbożu. Bowiem nic nie ginie, wszystko się przemienia, a oni co rychlej przemienić się muszą. Potem odsłonię wam dalsze drogi.

ON. Pójdziemy drogą twoją, Pani Słoneczna.

ONA. Drogą, która jest kamienista i stroma, a nie masz na niej ani jednego krzewu, chroniącego od spieki. Bowiem zachwyciłaś oczy nasze na wieczność.

ON. Zachwyconemi oczyma powitamy śmierć w imię twoje.

PANI SŁONECZNA. Pójdźcie za mną drogą trudną i kamienistą, odwróciwszy oczy od kwietnych łąk. Pójdźcie za mną tam, dokąd wszystko w męce podąża, przez narodziny i zgony, przez ból twórczy pokoleń — przez kształty nowe, przez radość przemian. Pójdźcie ku pierwszemu stopniowi schodów świetlistych, któremi się wstępuje w jasność niezamąconą odnalezionej jedności. Będziecie odchodzić i wracać, a za każdym powrotem na coraz to wyższym znajdziecie się stopniu. Patrzcie odważnie w oczy śmierci.

ON. Nie widzę kamienistej drogi. Wydaje mi się, że to schody olbrzymie, świetliste przed nami.

ONA. I mnie się wydaje.

PANI SŁONECZNA. Pójdźcie ze mną ku pierwszemu stopniowi tych schodów.

(Obejmuje ich, kładąc ręce na ramionach obojga i prowadzi ich pod osłoną wielkich, złotych swych skrzydeł po drodze kamienistej i stromej).

MÓJ ORĘŻ.

CRATAEGUS.

Mój oręż — to ten krótki miecz
Spartanów mężnych broń: —
„Wrogów wolności znagła siecz,
Ścigaj — prześladuj — goń“!

Mój oręż — to dozgonny ślub,
To sztych niechybny — w Noc!
Ani go rdzą pokryje grób,
Nie złamie śmierci moc...

Mój oręż — trzask niewolnych bram,
Pokoleń przyszłych myt!
Tryumfem swym niech wieści wam: —
Zmartwychpowstania świt!

A gdy mię zgłuszy grotów huk,
Gdy mię osaczy — Kłam:
Wierz druhu: miecz ten — Spartan wnuk —
W pierś własną wrażę — sam.

ECHA RAPPERSWILSKIE.

LIST RAWITY GAWROŃSKIEGO.

Szanowny Panie Redaktorze!

Do listu p. Stefana Żeromskiego w artykule pt. *Jeszcze echa Rapperswilskie*, z dnia 25. listopada w *Życiu* zamieszczonego, wkradła się niedokładna cytata, którą w imię prawdy uprzejmie proszę sprostować, gdyż bezpośrednio dotyczy niżej podpisanego, a niechciałbym, ażeby zarówno p. Ż., jak i czytelnicy *Życia* byli w błędzie.

Chodzi o list p. Ż. do Henryka Dobrzyńskiego, który, niewiem, jakim sposobem dostał się do rąk p. Rużyckiego, kustosza Muzeum w Rapperswilu. Otóż, na zjeździe Rady muzealnej w r. 1910, na jednem z posiedzeń p. Rużycki pokazywał jakiś list, utrzymując, że go pisał p. Ż. List ów sam przez się nie był przedmiotem dyskusyi, ani badania w ogóle, tylko dolał oliwy do ognia. Skutkiem tego, dyskusya, już przedtem zaostrzona, przybrała charakter tak daleko idących wzajemnych żalów i oskarżeń, że niżej podpisany postawił istotnie wniosek o zamknięcie dyskusyi w tej myśli, aby uniknąć wzajemnego wytykania sobie błędów, które ani w takim nastroju, ani na tej drodze nigdy nie bywają wyjaśnione. Wniosek mój nie dotyczy wszakże inkryminowanego listu, ale charakteru dyskusyi. Jako wnioskodawca wiedziałem chyba najlepiej, do czego zmierza mój wniosek i odniosłem to przekonanie, że Rada Muz. intencye moje rozumiała tak, jak ja. Nie kierowałem się ani animozyą, ani sympatyami względem osób, ale w danym wypadku miałem na celu powagę instytucyi i obrad, tembardziej, że kwestya, jaką drogą list ów doszedł do rąk p. Rużyckiego, nie należała do kompetencyi Rady muzealnej.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku, z jakim jestem WPanu dalej sługa powolny

Fr. Rawita-Gawroński.



ZYGMUNT KLINGER.

NOWA PARTYA.

II.

„Kwestya żydowska“ inaczej kształtowała się w zachodniej Europie, a inaczej we wschodniej. Tam żydzi rozsiedlili się najobszerniej i w największej stosunkowo liczbie na ziemiach niemieckich, tu na ziemiach polskich. I też z tych dwóch punktów obserwacyjnych będziemy kwestyę żydowską rozpatrywali, jako że są one dla niej poniekąd typowe.

Przez całe średniowiecze, aż gdzieś do połowy XVIII w., usunięci, a raczej niedopuszczeni do jakiegokolwiek udziału w życiu społecznem, wyłączeni poza nawias wszelkiego życia narodowego, zamknięci w odrębnej organizacyi o charakterze czysto wyznaniowym — żydzi zachodu, w myśl swoich skłonności, zajmowali się wyłącznie prawie nauką i handlem. Dla bytu swego żadnego nie mając oparcia w jakiejś zasadzie prawno-państwowej, doświadczając niejednokrotnie chwiejności swojej pozycyi, zagrożonej stale mnóstwem nie dających się przewidzieć niebezpieczeństw — pracowali wytrwale nad umocnieniem i ubezpieczeniem swojego położenia. Umacniali je moralnie, wydając ludzi wielkiej wiedzy i myśli, umacniali je materyalnie, gromadząc w swem ręku przez sobie tylko właściwą zapobiegliwość i skrzętność coraz większe mienie. Po kropli tedy, zwolna, ale systematycznie wnikali w społeczeństwo aryjskie i do niego się upodabniali tak, że ruch wolnościowy XIX stulecia zastał ich zupełnie przygotowanych i postawił od razu w rzędzie najprzedniejszych czynników nowego życia. „Wolność, równość i braterstwo“, „prawa człowieka“, cześć dla „rozumu“, „wolność myśli i słowa“, „humanitaryzm“, „wolność ruchów i przesiedlania się“ — wszak to wszystko wyprowadzało ich z niewoli zaułków w podwoje światła, w blask cudownego słońca. Jakże nie mieli się stać najdzielniejszymi pionierami nowych kierunków, jakże nie mieli całkowicie zlać się, zidentyfikować, zasymilować z tymi, którzy im to wyzwolenie przynieśli. Gdy manufaktura i mieszczaństwo jęczało w uściskach ograniczeń tylko cechowych i kastowych, żydzi jęczeli w uściskach ograniczeń ogólnoludzkiej natury. Byli paryasami społeczeństwa oni, którzy mieli za sobą uświadomioną tradycyę wieków, przetrawioną kulturę współczesną i zasoby materyalne, domagające się na gwałt szerokiego pola działania. Element o niepospolitej rutynie i doświadczeniu handlowem z natury rzeczy musiał stanąć obok zwycięskiego mieszczaństwa, obecnie twórcy i reprezentanta wielkiego przemysłu. Identyfikują się ich interesa ekonomiczne, identyfikuje się ich ideologia i wspólne wysiłki znaczą swe zwycięstwo erą polityki burżuazyjno-liberalnej. Tu kończy się na zachodzie zasadniczo kwestya żydowska jako taka, rozpływa się i niknie bezpowrotnie w walce klas. Odruchy późniejsze są bądź manewrem politycznym, jak „Dreyfusiada“ we Francyi, bądź defenzywą wobec immigracyi żydów wschodnio-europejskich, deprecyonujących pracę robotnika rodzimego. Stają przeciw nim sami żydzi angielscy. Bywają nawet jeszcze szczątkowe zabytki feodalizmu, które np. w Prusiech nie dopuszczają żyda do stopnia oficerskiego w czynnej służbie. Miarą ich uobywatelnienia jednak jest chociażby fakt, że dochodzą do najwyższych dostojeństw w hierarchii cywilnej, że zasiadają nawet na fotelach ministeryalnych i kanclerskich w Anglii, Francyi i Włoszech, a wiadomą jest rzeczą, że we krwi dzisiejszego kanclerza-filozofa, r. Bethmann-Hollwega, jest silna domieszka żydowska. Wszak w „reichstagu“ niemieckim konserwatysta, Hydebrandt, jest najżarliwszym propagatorem wojny z Francyą w obronie zagrożonego „interesu narodowego“ „katolickich“ Mannesmanów. Że Herzel, Nordau i inni luminarze kultury zachodniej stają się wodzami syonistycznego ruchu, niczego to nie dowodzi. Bo po pierwsze — w imię prawdy historycznej — należy przypomnieć, że myśl ta i kierunek zrodziły się na wschodzie wśród żydów rosyjskich, po drugie jest to dla nich tylko problem z dziedziny kultury — „Kulturproblem“, którego rozwiązaniem — rzecz jasna — jako najbliżej zainteresowani — najgorliwiej się zajmują. Traktują go też wyłącznie w uwzględnieniu potrzeb i położenia sproletaryzowanych mas żydowskich wschodniej Europy. Sami nie byliby z pewnością pierwsi, którzyby porzucili ojczyznę — chociażby nawet dla Palestyny. Zresztą — wszak i wśród aryjczyków są gorliwi wyznawcy syonizmu, a zwolenników ma on nawet wśród głów koronowanych. Podłoże psychiczne i myślowe jednych i drugich takie same. Że żydzi zachodnio-europejscy poczuwają się do solidarności z narodami, wśród których żyją, dowodzi n a w e t tegoroczny kongres syonistyczny w Bazylei, na którym przywódcy z zachodu, nie poczuwając się w każdym razie do prawa robienia u siebie w domu odrębnej polityki żydowsko-narodowej, atakowali reprezentantów wschodu, a w szczególności galicyjskich za ich politykę krajową.

Gościnnie przyjęci do Polski, rozlali się żydzi w następstwie po całej wschodniej Europie i tak gościnność ta stała się zawiązkiem tragedyi dziejowej, w której sami padają ofiarą cudzych win. Bo okoliczność, że po większych centrach rozsiadło się istotnie kilkuset, lub nawet kilka tysięcy lichwiarzy pasożytniczych, nie umniejsza zupełnie prawdy, że położenie szerokich mas żydostwa we wschodniej Europie jest w rzeczywistości tragiczne.

Przyjęci dla rozwinięcia handlu i zaludnienia miast, natrafili żydzi na prymitywny, niewykształcony zupełnie ustrój państwowy, dla którego rozwoju i poprawy wieki następne nie uczyniły nic, albo bardzo niewiele. Preponderancya jednego stanu zawisła nad całym obszarem życia społecznego, nie dopuszczała z jednej strony do wytworzenia silnego, a twórczego rządu, a z drugiej do rozwoju jakiegokolwiek innego elementu w narodzie, czy kraju. Gdy rozwój narodów zachodnich ujawniał się w ich zróżniczkowaniu ekonomicznem, a w następstwie i ideowem, gdy ich wyraz zbiorowy coraz bardziej się komplikował w miarę uwspółrzędniania się nowych elementów — w Polsce mechanizm życia społecznego nie funkcyonował wcale, rdzewiejąc w raz dokonanem zmontowaniu. Tak więc żydzi, którzy przybyli do Polski

przeważnie z Niemiec, nie ujęci w żadne tryby maszyny społecznej, w lekkomyślnej beztrosce pozostawieni sobie samym, wobec ogólnie nizkiego poziomu kultury, nie zmuszeni do żadnych wysiłków twórczych, albo przystosowawczych, zachowali nadal z różnych stron przywiezione dyalekty niemieckie, i żyjąc tu w zwartych masach, wyrównywali je i poddawali tylko wpływom języka polskiego, ruskiego i hebrajszczyzny, codziennie używanej w modlitwie. Tak wytworzył się na Wschodzie, nigdzieindziej w Europie nieistniejący, żargon. Jeśli się nadto weźmie pod rozwagę, że żydzi trudnili się przeważnie handlem, że wskutek tego wchodzili ciągle w styczność z niemieckim Zachodem, który reprezentował coraz wyższą kulturę i coraz większy liberalizm — zrozumieć łatwo, dlaczego przy wszelkim braku wpływu i inicyatywy wewnętrznej proletaryat po dzień dzisiejszy ostał się przy żargonie, a dorobkiewicze do niedawna byli siewcami germanizacyi wśród nas. I dopiero demokratyczne i wolnościowe prądy ostatnich dziesięcioleci zdziałały, że na krajowych kongresach syonistycznych do niedawna można było słyszeć lepszą polszczyznę, niż np. na kongresie maryańskim w Przemyślu, że adwokatowe i konsyliarzowe żydowskie znają często lepiej literaturę polską, niż nasze „Matki Polki" i żony czcigodnych „ziemian".

Nietylko żargon jednak jest specyficzną cechą mas żydowskich we wschodniej Europie. Znamionuje je także wybitny klerykalizm, fanatyczne i bezmyślne przywiązanie do pozbawionych treści, skostniałych i dawno przeżytych rytuałów wyznaniowych. Gdy ruchy religijno-reformacyjne w zachodniej Europie nie pozostały bez wpływu na wierzenia religijne żydów i zmuszały ich do rewizyi tych wierzeń, gdy „oświecenie", niosące sceptycyzm, zmusiło ich do odrzucenia całego balastu zabobonów wyznaniowych, do ograniczenia się na czystej wierze w Boga i zmodernizowania swojego Kościoła — żydzi Wschodu, dzięki wychowawczym wpływom otoczenia, nauczyli się wierzyć w cuda i cudotwórców. Bez kwestyi da się to wytłómaczyć nędzą położenia, która skłaniała do oczekiwania niespodziewanej ingerencyi sił wyższych. Niemniej jednak jest to zjawisko, znamionujące brak inicyatywy, indolencyę, ciemnotę i niezaradność Wchodu wogóle i żydów w nim. Tak tedy nędza ekonomiczna, żargon i ciemny klerykalizm składają się na ów smutny obraz, jaki przedstawia masa żydowska we wschodniej Europie.

Uchwały „Sejmu czteroletniego", stojąc na wysokości swego zadania, byłyby niewątpliwie kwestyę żydowską popchnęły w kierunku analogicznym do zachodniego i w ten sposób rozwiązały ku obustronnej korzyści. Niestety, podbój i niewola narodu, nieudałe próby wyzwolenia, wzrastające stale prestige reakcyjnego caryzmu, wstrzymały i opóźniły wogóle we wschodniej Europie rozwój idei demokratycznej i wolnościowej i tem samem sprawę uobywatelnienia, istotnego równouprawnienia żydów. Odtąd kwestya żydowska wiąże się ściśle — jak wogóle wszelka myśl wyzwoleńcza w Europie — z kwestyą odbudowania Polski, z kwestyą emancypacyi jej mas ludowych, które, w miarę rosnącego uświadomienia, jedyne dają gwarancyę przyszłości, zbudowanej i utrwalonej na zasadach sprawiedliwości społecznej. Z tego też nowoczesnego i jedynie naukowo uzasadnionego wychodząc założenia, konferencya żydowskich Towarzyszy P. P. S. D. uchwaliła w r. 1904 następującą rezolucyę: „Warując interes proletaryatu żydowskiego, możność jego rozwoju kulturalnego i polepszenie jego warunków ekonomicznych, zjazd obstaje przy ścisłej i bezwarunkowej łączności z istniejącemi organizacyami krajowemi i potępia wszelkie separatystyczne dążenia, prowadzące do utrwalenia istniejących odrębności, skwapliwie podtrzymywanych przez sfery rządzące w ich własnym interesie". Dnia 8-go maja 1905 r. wydaje Polska Partya Socyalistyczna rodzaj manifestu, zatwierdzonego jednogłośnie przez egzekutywę centralną w Wiedniu, w którym stwierdza na naczelnem miejscu, że „polityczne i społeczne interesa proletaryatu żydowskiego, mieszkającego wśród ludności polskiej w Galicyi i na Śląsku są identyczne z interesem proletaryatu polskiego", że „w t. zw. kwestyi żydowskiej uważa za swój obowiązek zdobycie pełnego równouprawnienia dla robotniczych mas żydowskich, zapewnienie im możności i swobody kulturalnego rozwoju, przyczem, nie chcąc narzucać kultury polskiej, nie chce ich również zamykać w granicach żargonu i utrudniać zbliżenie do polskiego narodu, do polskiej kultury".

(C. d. n.).

GRABOWIEC.

AWANTURY SOJUSZNIKA.

Wiedeń 30. listopada.

W dniu 1. lipca b. r. „Norddeutsche Allgemeine Zeitung" doniosła, że na prośbę firm niemieckich interesowanych na południu Marokka, rząd niemiecki postanowił wysłać znajdującą się w pobliżu łódź działową „Pauther" do przystani w Agadir, celem ochrony życia i własności klientów niemieckich i powiadomił o tem mocarstwa. Podano równocześnie Marokkańczykom do wiadomości, że z krokiem tym nie wiąże się cel nieprzyjazny względem Marokka.

W świeżej zapewne jeszcze pozostaje pamięci wrażenie, jakie decyzya niemiecka wywołała w Europie.

Od czterech przeszło miesięcy niepokojące nadbiegały wieści o rozruchach szczepów berberyj-

skich, o rokoszu przeciw sułtanowi Mulej-Hafidowi o niebezpieczeństwach, grożących cudzoziemcom, osiadłym w Marokku. Wiadomości o rozprężeniu, nadchodziły zapomocą francuskich agencyi telegraficznych i prasy francuskiej, Francya też, na zasadzie aktów w Algeciras, objawiła skłonność do wykonania roli przyjętej w traktacie tym i wysłała korpus ekspedycyjny dla przywrócenia porządku — no i dla zagospodarowania się na stałe w Marokku.

W języku europejskiem postępowanie takie zowie się polityką kolonialną. Gdy w kraju barbarzyńskim dwaj tubylcy z sobą się poczubią, „interesowane" mocarstwo europejskie konstruuje niebezpieczeństwo, grożące stąd cudzoziemcom i wkracza celem zaprowadzenia ładu i zabrania kraju na własność.

Pięknie się o tem wszystkiem czyta, jak długo jedno tylko mocarstwo europejskie uchodzi za „zainteresowane". O losach „misyi cywilizacyjnej" w takim kraju dzikim, czy barbarzyńskim, historya się dowie, ongi po upływie lat dziesiątków, czy wieków.

Rzecz nabiera fizyognomii kłopotliwszej, gdy dwa, lub trzy mocarstwa europejskie objawią chęć pogodzenia tubylców poczubionych.

Pragnienie utrzymania pokoju w Afryce, czy w Azyi, trwogą wojenną napełnia Europę.

System przymierzy i porozumień oplatających nasz kontynent, wniósł pewien rytm w konkurencyjne zabiegi kolonialne. Wiemy, że Austro-Węgry, Niemcy i Włochy wzajem sobie tak samo nie przeszkadzają, jak to bywa z Anglią, Francyą i Rosyą, po stronie drugiej.

Niepokój nastaje dopiero z chwilą, kiedy spółzawodnictwo uwydatni się między dwoma mocarstwami, z obu grup sprzymierzonych.

Telegramy z 1. lipca b. r. wstrząsnęły Europą. Niemcy zgłosiły swe aspiracye do zajętego przez Francyę Marokka. Nad Renem i Wisłą zaczęto oglądać przeprawy.

Zaczęły się dnie alarmujących coraz bardziej wiadomości, podjazdowe wycieczki prasy, wyczekiwanie gorączkowe wypadków.

Austro-Węgry, pomne roli sprzymierzeńca, nie omieszkały we formie półurzędowej zgłosić swój akces do pretensyi Niemiec. Już 4. lipca czytać można było deklaracyę, że Austro-Węgry upatrują w wysłaniu niemieckiego okrętu wojennego do Agadir krok zupełnie legalny. Niemcy, podobnie jak każde inne mocarstwo, mają prawo i obowiązek strzeżenia zagrożonych interesów obywateli swego państwa. W rozwoju spraw marokkańskich interesowane są prócz Niemiec, Francyi i Hiszpanii (która północ Marokka dawniej już obsadziła) także inne mocarstwa. Austro-Węgry mają w Marokku znaczne interesy gospodarcz- i stoją one, co się tyczy eksportu do Marokka na miejscu czwartem.

Całe trzy tygodnie trwała niepewność, podsycana wieściami coraz bardziej drażniącemi.

Niepokój doszedł punktu kulminacyjnego w dniu 26. lipca br., kiedy to angielski minister skarbu Lloyd Georges w mowie, wygłoszonej w Mansion-House, krótko a stanowczo oświadczył, iż Anglia nie ścierpi jakiejś preponderancyi Niemiec na północnozachodniem wybrzeżu Afryki.

A więc, przesilenie europejskie w całem tego słowa znaczeniu. —

Ale napięcie najwyższe stało się zarazem początkiem ukojenia.

Jak za uderzeniem różdżki czarodziejskiej chmury złowrogie jęły oddalać się i znikać. Wdrożono rokowania, długie, przedługie, ale czuć było, że chodzi o targ nie o bójkę.

Dnia 6. listopada ta sama „Norddeutsche Allgemeine Zeitung", która przed czteroma miesiącami podała była wiadomość o wysłaniu „Panthery" do Agadir, ogłosiła teraz tekst układu niemiecko-francuskiego co do Marokka.

W układzie tym Niemcy uznają zupełną swobodę działania Francyi w Marokku; zgadzają się na przeprowadzenie wszelkich reform administracyjnych, sądowych, gospodarczych, finansowych i wojskowych, jakie Francya jako protektorka Marokka uzna za potrzebne.

W zamian Niemcy otrzymują w zachodniem centrum Afryki kawał Konga francuskiego.

Wyprawa niemiecka po złote jabłko Hesperyd, skończyła się na wytargowaniu szmata bagnisk kontynentu czarnego.

Austro-Węgry, popierające moralnie Niemcy, uczestniczą też w sukcesie moralnym Niemiec...

Wnet po podpisaniu marokkańskiego traktatu niemiecko-francuskiego, posypały się rewelacye o wojnie, jaka w miesiącu lipcu zagroziła Europie. To, co tylko instynktownie ogół wyczuwał, co się dawało domyśleć i wykombinować, było reczywistością surową.

Członek parlamentu angielskiego kapitan Faber, jeszcze 9. listopada na bankiecie w Andover wyjawił rozmiary pogotowia floty angielskiej, jakoteż gotowość wylądowania sześciu dywizyi wojsk regularnych na pomoc Francyi.

Kiderlen-Wächter, niemiecki sekretarz stanu spraw zagranicznych, na posiedzeniu Komisyi budżetowej Reichstagu, podał 17. listopada przebieg rokowań francusko-niemieckich, o ile na nie oddziałała decydująco interwencya angielska.

Wreszcie Edward Grey, angielski sekretarz stanu w Izbie gmin, podał ze swej strony obraz przesilenia, w którem deklaracya angielska tak decydującą odegrała rolę.

Zestawiwszy wszystkie te rewelacye w całość, okazuje się, że ony sojusznik austro-węgierski z całą bezceremonialnością postanowił był wtargnąć do Marokka i zabrać jego część południową. Podział Marokka między Hiszpanią na północy, Francyą w ośrodku i Niemcami na południu, oto zamiar, jaki postanowiono urzeczywistnić wówczas w dniu 1. lipca br.

Lecz nie dopisało przypuszczenie, że Anglia pozostanie obojętną.

Dopiero publiczne przemówienie Lloyd Georges'a wygłoszone 21. lipca, złudy rozegnało.

Należało zsiąść z rumaka i pokornie targować się o pozory sukcesu.

Należało i Austro-Węgrom zapomnieć o interesach gospodarczych, „czwartych z rzędu" i poprzestać na roli sekundanta skonfundowanego.

Gest awanturniczy zakończył się klapą, w której monarchia habsburska bierze udział zasłużony.

Wir Deutschen fürchten Gott sonst Niemanden in der Welt — powiedział Bismark...

My Niemcy boimy się Boga i każdego mocniejszego w świecie — powiada Wilhelm II...

I ma racyę!

SPRAWOZDANIA.

MARYA STECKA: EDWARD DEMBOWSKI, Lwów 1911. Polskie Tow. Nakładowe. (Odbitka z Przeglądu historycznego). Słabym echem odbijały się u nas prądy komunistyczne, które tak szeroko rozpowszechniły się w latach czterdziestych w zachodniej Europie. Podczas, gdy w Europie: Fourier, St.-Simon i inni znajdowali całe szeregi zwolenników i wyznawców, podczas kiedy Marks mógł był w przedmowie do swego Manifestu komunistycznego pisać, iż „Komunizm to jest siła, z którą się dziś każdy liczyć musi", — u nas występowali jedynie pojedynczy i to nieliczni zwolennicy odrodzenia ludzkości na zasadach komunizmu. Lud Polski, Worcell, Ściegienny — oto najbardziej znani przedstawiciele światopoglądu komunistycznego w Polsce. Do tych nielicznych jednostek należy także Edward Dembowski, którego postać z pyłu zapomnienia dobyła książka p. Maryi Steckiej.

„Było rzeczą charakterystyczną dla ówczesnego ruchu demokratycznego, który był ruchem umysłowym wśród inteligencyi, mało schodząc do warstw ludowych" (str. 3), że przecie wszyscy przedstawiciele owego ruchu rekrutowali się ze szlachty, że sam lud nie przyjmował w tym ruchu żadnej roli, że nie wydał ludzi, którzy reprezentowali by jego interesy, którzy organizowaliby go, w celu zdobycia lepszych warunków egzystencyi. Lecz skąd miały się wziąć takie elementy? Mieszczaństwo nieliczne, składające się przeważnie z mało wykształconych drobnomieszczan nie mogło grać roli politycznej — tembardziej nie mogło grać żadnej roli włościaństwo, zostające jeszcze w zależności od panów. To jest przyczyną słabości naszego ruchu demokratycznego, stąd pochodzi zjawisko tak częstej zdrady sztandaru — cecha, która jeszcze silniej występuje w ruchu rewolucyjnym rosyjskim.

Dembowski nie był wyjątkiem z tej reguły. „Pochodził on ze starej arystokratycznej rodziny, spokrewnionej z najznakomitszemi rodami w Polsce". Urodzony w roku 1882 jako drugi syn Leona Dembowskiego, kasztelana i senatora Królestwa Polskiego, otrzymał staranne domowe wychowanie; bardzo wcześnie wstąpił w związki małżeńskie i przez żonę poznał się z przedstawicielami ruchu demokratycznego wśród młodzieży warszawskiej..

Grupowało się to kółko naokół założonego przez Dembowskiego „Przeglądu Naukowego", które to pismo miało być organem tych młodych zapaleńców, a było przedewszystkiem organem samego Dembowskiego. Tu stawiał on pierwsze kroki na niwie publicystycznej i naukowej. W tym czasie przejął się on ideałami demokratycznemi i komunistycznemi, które wyrabiały się w nim pod silnym wpływem H. Kamieńskiego, autora „Prawd żywotnych".

W tym czasie rozpoczął też swoją działalność spiskową w „Związku Narodu Polskiego". Po wykryciu spisku, ucieka Dembowski do W. Ks. Poznańskiego, gdzie dalej prowadzi swoją pracę publicystyczną w „Roku". Lecz i tu niedługo mógł pozostawać, za artykuły propagujące komunizm wydalono go z Poznania, wówczas przenosi się do Galicyi. W Galicyi nie zajmuje się już pracą publicystyczną — oddaje się całkowicie agitacyi, przygotowaniom do powstania. Pod wpływem jego utworzył się spisek, który wywołał powstanie 1846 roku i rewolucyę krakowską i który przyniósł mu śmierć...

Gdy się postaci Dembowskiego przyjrzymy, uderzają nas w niej cechy tak wspólnie naszym rewolucyonistom i demokratom pierwszej połowy 19 wieku: bezwzględna wiara w niedalekie odrodzenie Polski i oswobodzenie Ludu, gorąca miłość ojczyzny. Lud i Polska, to są gwiazdy przewodnie naszej demokracyi, przedmioty bezwzględnej wiary, bez zwątpień, nawet bez bliższych i głębszych roztrząsań. Wiara ta była nieraz wynikiem zupełnej nieznajomości stosunków, panujących na ziemiach Polski.

Klasycznym tego przykładem był Dembowski, człowiek, „którego jedynym Bogiem była Polska", który z całym zapałem oddaje się sprawie, który bezwzględnie wierzył, iż lud, na samą wiadomość o powstaniu, prowadzonem w imię tych dwuch haseł: wyzwolenia Polski i ludu, podąży gromadnie pod sztandary rewolucyi. Lecz wszystkie jego rachuby zawiodły, rzeczywistość zadała kłam marzeniom — zamiast powstania ludu wybuchnęła rzeź szlachty, rewolucya została utopiona w morzu krwi, wylanem przez ten sam lud. Dembowski wierzył w lud do ostatka, gdy agitacya jego prowadzona już w czasie powstania nie wywierała wrażenia, chciał go przyciągnąć za pomocą duchowieństwa, zorganizował procesyę do wsi pod Krakowem, która miała lud do rewolucyi nakłonić

Z drugiej strony charakteryzuje Dembowskiego niesłychana energia, rzutkość, siła woli, „prawdziwy typ rewolucyonisty, jakim go sobie wyobrażano". Gdy wybuchnęła rewolucya, znajdował się w okolicach Wieliczki; na pierwszą wieść o wybuchu przybył do Wieliczki, po mistrzowsku, sam jeden zajął się i ustanowił rząd rewolucyjny Swojem zdecydowaniem zapobiegł niesnaskom w łonie rządu rewolucyjnego, niedopuszczając do odebrania dyktatury Tyszowskiemu. Przez tę swoją ruchliwość tak był znienawidzony przez policyę, że gdy już po jego śmierci rozeszła się pogłoska, iż przebywa w Poznaniu, Minutoli, prezydent policyi poznańskiej, wykrzykuje: „No, teraz nie ujdzie mi już ten szatan Dembowski"; znienawidzony był nietylko przez policyę ale i przez swoich. Nie uniknął on też oszczerstw i napaści. Trentowski stawia go obok Szeli, oskarżając o wywołanie rzezi szlacheckiej, tego jednak nie uniknął żaden z naszych rewolucyonistów.

Postać Dembowskiego zasługuje na to, by być wyciągniętą z zapomnienia; dlatego też książka p. Steckiej, ujmująca postać Dembowskiego wszechstronnie i traktująca go serdecznie, powinna być szerzej poznaną.

Czyni jednak autorka jeden błąd, pisząc na stronnicy 13: „Widzimy więc u Dembowskiego tę samą konieczność historyczną, którą odnajdujemy w teoryi Marksa również zresztą heglisty" — lecz Marksa nie można nazwać heglistą, gdyż jego „konieczność dziejowa" nie wypływała z abstrakcyjnych rozumowań Hegla o „tezie, antytezie i syntezie", tylko z założenia, iż przeciwieństwa klasowe wewnątrz danego społeczeństwa doprowadzają w rezultacie do rozsadzenia isniejącego ustroju społecznego — przeto nie można też mówić o Dembowskim, jako o bardziej konsekwentnym hegliście od Marksa.

S. T.

ŻEROMSKI STEFAN : O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Imieniem „Towarzystwa przyjaciół Rapperswilu", pozostającego pod honorowem przewodnictwem T. T. Jeża, p. Stefan Żeromski podaje projekt uporządkowania muzeum rapperswilskiego, ponawia dawniej poczynione zarzuty i udowodnia je dokumentami autentycznymi. Po przeczytaniu broszury nie można mieć żadnej wątpliwości, że komisya wakacyjna zachowywała się stronniczo i mandatu swojego nie spełniła. Nie wolno zostawiać opieki nad Rapperswilem człowiekowi niekwalifikowanemu, który jest maniakiem w robieniu falsyfikatów i dobre imię muzeum od długich lat naraża na szwank. Cała sprawa jest przykra niezmiernie i niemiła; — należy ubolewać, że jedną z przyczyn stronniczości sędziów wakacyjnych była inna znowu mania: „przewiezienia rapperswilskich pamiątek z zamku nad jeziorem zurichskiem do jakiejś we Lwowie piwnicy". Lecz nie chcemy wywoływać na nowo roznamiętnienia, które dla całej sprawy rapperswilskiej najgorszym okazało się doradcą. Opinia publiczna po ostatniej broszurze Żeromskiego jedno mieć może żądanie, a to przestrzedz wszystkich maniaków, ażeby zapomnieli o swoich widzimisię i wycofali się nawet z dyskusyi na temat muzeum rapperswilskiego. Niema potrzeby, ażeby zbiory rapperswilskie przewozić do Lwowa i oddawać je tutaj na los niepewny; nie nastał termin, zapowiedziany przez fundatorów. Zakończymy słowami Żeromskiego: „Rapperswilu nie należy nikomu oddawać, lecz nie może ten stary puhar, porzeźbiony krwawemi łzami ojców, być tylko pamiątkowym puharem. Należy nalać weń tęgiego wina żywota dla odżywienia sił narodu. Rapperswil nie może zostać tem, czem jest obecnie. Powinien on stać się sworzniem, łączącym starą ziemię z rozsianymi po świecie jej synami, powinien stać się manometrem polskiej pracy i sam od tej wewnętrznej pracy zawrzeć".

HAHN DR. WIKTOR: ROK SŁOWACKIEGO. Księga pamiątkowa obchodów, urządzonych ku czci poety, w roku 1909.

Śliczna książka, dająca poznać, jak naród polski uczcił, w roku, pamiątki wielkiego poetę. Wypisujemy dosłownie ustęp z zakończenia, ażeby ocenić, czego z książki możemy się dowiedzieć: „Obecne zestawienie obchodów, urządzonych w r. 1909, wylicza przeszło 1000 obchodów w 550 miejscowościach; produkcya literacka wynosi około 2000 pozycyi: same te cyfry mówią za siebie, świadcząc o znacznie wzmożonem zajęciu się osobą wieszcza. Produkcya literacka roku Słowackiego nie tylko ma znaczenie ze względu na ilość, lecz także na jakość rzeczy, w tym roku wydanych; krytyka zgodnie też przyznała literaturze o Słowackim z roku jubileuszowego wielkie znaczenie dla studyów naukowych o poecie. Tak samo i obchody, urządzone przez najrozmaitsze stany społeczeństwa na całej przestrzeni ziem polskich, przyczyniły się niemało do rozpowszechnienia znajomości jego, zwłaszcza wśród sfer rzemieślniczych i włościańskich. Były też obchody te znamiennym dowodem jedności społeczeństwa polskiego, które na dane hasło odpowiedziało zgodnem echem, a tak stały się jednym z ważnych czynników dla podniesienia ducha narodowego i uświadomienia polskości, zwłaszcza w zaborze pru-

skim, na Bukowinie i na Śląsku austryackim. Spełniły poza tem obchody ku czci Słowackiego jeszcze jedno: zwróciły myśli społeczeństwa ku poezyi najwznioślejszej i najidealniejszej, tej, która zjadaczy chleba pragnie zamienić w aniołów".

Czysty dochód ze sprzedaży przeznaczono na budowę pomnika Słowackiego we Lwowie, co powinno być dla książki doskonałem poleceniem. Książka jest trzeciem z rzędu pożytecznem wydawnictwem Komitetu obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego we Lwowie.

SILVA RERUM.

Rocznica Kołłątajowska.

Klub społeczno-naukowy, inicyując uroczystość Kołłątajowską we Lwowie, sprasza Komitet obywatelski. Przy tej sposobności wystosował następującą odezwę:

ODEZWA!

„Czyniłem dobrze, ile mogłem, nie żebym się ludziom podobał, lecz żebym zbliżył ich dobro i dał im poznać prawdę, bez której błądzić muszą" — napisał Hugo Kołłątaj sam sobie w rozporządzeniu ostatniej woli.

Całe życie Kołłątaja dowodzi prawdy szlachetnie prostych słów tego testamentu.

Po Konarskim największy w Polsce odrodziciel szkolnictwa, w którem widział podstawę przyszłości narodowej. Dwukrotnie reformator Akademii krakowskiej, uczynił ją na nowo ostoją oświecenia, krzewicielką prawdy naukowej. U schyłku lat, niestrudzony, choć chory, położył podwaliny pod tyle później dla narodu pożyteczne Liceum krzemienieckie. Współcześni nie wiedzieli nawet o wielkiej zasłudze.

Pierwszy w Polsce świadomy celu polityk radykalno-demokratyczny — słowem, piórem, pracą polityczną — dążył niezachwianie do utwierdzenia równości obywatelskiej i sprawiedliwości społecznej.

Wyższy nad uprzedzenia, głosił tolerancyę wyznaniową, pragnął, ażeby Polska dla wszystkich swoich dzieci matką była i ojczyzną.

Miłośnik wolności, całe życie pracowite poświęcił usiłowaniom nad wyzwoleniem narodu polskiego z pod przemocy wewnętrznej i zewnętrznej.

Jego w olbrzymiej mierze dziełem Konstytucya 3-go maja.

Ocalenie honoru narodowego przez powstanie Kościuszkowskie za jego w wysokim stopniu dokonane współdziałaniem.

Oplwany przez Targowicę, oskarżony przez faworytów Stanisława Augusta, przez niegodnych rodaków w ręce wroga oddany, — cierpiał za Ojczyznę ośmioletnie więzienie, z którego serce wyrywało się ku nowym nadziejom, związanym z legionami.

Gdy nadzieje częściowego tylko doznały spełnienia, rzucił ziomkom gorące: *Nil desperandum!* — i dotrwał do końca nieugięty, wierzący niezłomnie w przyszłą wolność i niepodległość.

„Za omyłki najwięcej odpokutował, bo najwięcej cierpiał; owszem poświęciwszy wszystko, podzielił zupełnie swój los z Ojczyzną, straciwszy wszystko — prócz honoru i sławy"! — napisał o nim wielki Jan Śniadecki.

„Imię Hugona Kołłątaja jest nieśmiertelne"! — powiedział o nim zasłużony Hieronim Stroynowski.

Rocznica Kołłątaja jest dla Polski wielką pamiątką narodową. Komu droga wolność ojczyzny, kto w każdym spółziomku kocha brata, kto potępia ciemnotę, kłamstwo i samolubstwo, kto nie wątpi w zwycięstwo Dobra — ten wezwanie zrozumie i stanie w szeregu.

Rocznicę Hugona Kołłątaja chcemy uczcić manifestacyjnie, pójść z imieniem wielkiego Męża w cały kraj, ogrzać serca, utwierdzić nadzieje!

Dla przygotowania uroczystości spraszamy Komitet obywatelski, do którego JWPana mamy zaszczyt zaprosić. Pierwsze posiedzenie odbędzie się w sali Polskiego stronnictwa postępowego (ul. Sienkiewicza 9, I p.) dnia 6-go grudnia o godz. 6½ wieczorem.

Za Wydział Klubu społeczno-naukowego:

Bronisław Laskownicki, Dr. Michał Janik, Ludwik Kulczycki, Henryk Szalit.

Z TEATRU. — („*Oficer Gwardyi*" — komedya satyryczna w 3 aktach F. Molnara). Autor przed rozpoczęciem widowiska — z góry już zapewniając, że będzie nadzwyczaj ciekawe i wesołe — winien prosić publiczność o nieznaczną wyrozumiałość. Chodzi mu o to, by wszyscy się zgodzili, że bohater tego pomysłu jest tak genialnym aktorem, iż może oszukać własną żonę, grając przed nią rolę amanta, który — o zgrozo! — ma mu żonę uwieść.

Oszukana zaś żona ma najświętszy zamiar sprzeniewierzyć się nawet tak genialnemu, jak Molnarowski, aktor mężowi Maluczko, a byłaby go zdradziła z oficerem gwardyi — w mundurze tej bowiem broni aktor odrywa swą rolę — gdyby nie jedyny błąd, jaki popełnia mąż w tej komedyi bez suflera improwizowanej, zawcześnie kończąc rolę uwodziciela własnej żony. Wybaczyłaby mu, gdyby do końca wytrwał w mundurze.

Nawet łatwowierność żony autor gotów wytłumaczyć: wszak była już sześć miesięcy żoną aktora — dość chyba, by pomyśleć o zmianie i t. d.

Publiczność ujęta ekspozycyą sprytnie przeprowadzoną (i doskonale zagraną przez p. Nowackiego) ostatecznie godzi się na założenie grubą farsę zapowiadającą i odtąd bawi się jak rzadko, patrząc na oficera gwardyi uwodzącego żonę aktora. Wprawdzie po wstępie, w którym artysta odsłania cały ten macchiawelski plan przed przyjacielem, druga połowa aktu pierwszego, jak cały prawie akt drugi w loży na Cyganeryi, nudzi, wynagradzają jednak widza sowicie niektóre sceny prawdziwie komiczne, z konsekwencyą wypływające z humbugowego założenia. Nieraz, jak w akcie trzecim, dla wywołania śmiechu posługuje się autor niezbyt wybrednie, środkami efekciarskimi. Mimoto jest to farsa, która budową swą i komizmem może wytrzymać porównanie z wielu podobnemi farsami wprowadzanemi z rynku paryskiego.

Grano „Oficera gwardyi" wybornie. P. Nowacki z obydwu ról wywiązał się znakomicie; grał jednak rolę aktora lepiej, niż rolę tytułową. P. Bednarzewskiej jeden tylko zarzut: mówiła bardzo cicho. P. Fritsche był doskonałym krytykiem.

† PAWEŁ LAFARGUE. W Paryżu odebrał sobie życie znany działacz socyalistyczny, krytyk literacki i badacz pierwotnych społeczeństw, Paweł Lafargue. Zmarły, jeden z najzdolniejszych bojowników postępu społecznego Europy, ustąpił z życia, aby uniknąć niedołężnej starości, (liczył 70 lat). Wraz z nim odeszła jego niestrudzona towarzyszka życia, córka Karola Marxa.

NA WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH przesłało „Stowarzyszenie polskie im. Joachima Lelewela" w Brukseli pod adresem Redakcyi „Życia" kwotę 20 fr. 76 cent. Na kwotę tę złożyły się następujące pozycye: 18 fr. zebrane z dwóch odczytów w Stowarzyszeniu im. Lelewela w Brukseli, 2 fr. 35 c. z odczytu w Leodyum w „Filarecyi" i 41 cent. Kazio. Pieniądze te przesłaliśmy Polskiemu Tow opieki nad więźniami politycznymi we Lwowie.

WYŁĄCZENIE CHEŁMSZCZYZNY. Komisya wniosków prawodawczych Dumy, większością głosów, uchwaliła wniesienie do Dumy projektu wyłączenia Chełmszczyzny, w redakcyi tej większości. Mniejszość członków komisyi, z posłami polskimi: Dymszą, Harusewiczem i Parczewskim na czele, opracowała swój referat w tej sprawie, dla przedstawienia go Dumie. Referat ten, stanowiący *votum separatum*, oprócz wspomnianych posłów polskich, podpisali, jako członkowie tejże komisyi: Maksudow, A. Nikolskij i N. Rumiancew, dołączyli zaś swe głosy posłowie: L. Maslennikow, Rodziczew, Zacharjew, Tomiłow i hr. Uwarow.

O MARGRABIEGO WIELOPOLSKIEGO toczy się zażarty spór w prasie warszawskiej. Polemikę wywołał literat, p. Adolf Nowaczyński, stąd też i sprawa cała przybrała charakter przedewszystkiem literacki. Spór pozostanie oczywiście nierozstrzygnięty: ani przeciwnicy, ani zwolennicy nie potrafią się wzajemnie przekonać. Wielopolski da się porównać z Gołuchowskim, choć skutek usiłowań wypadł całkiem inaczej dla jednego, niż dla drugiego. U obu jednakże był ten sam kierunek usiłowania: abdykować z aspiracyi niepodległościowych, przystosować się do obcej idei państwowej, czy dynastycznej, wynaleść dla niewoli najłagodniejsze formy. Dla różnych powodów łatwiej było o to w Galicyi, bardzo trudno w Warszawie, gdzie każde z kolei pokolenie walczyło

o wolność i wolało raczej ucisk i prześladowanie, aniżeli rezygnacyę. Nie mało trudności wywołał sam Wielopolski właściwościami swojego charakteru i postępowania. Na oświecony absolutyzm było zapóźno, tem więcej, że Wielopolski w żadnym kierunku nie był cezarem — jak chce p. Nowaczyński. Nie trzeba nazwom odbierać należnego znaczenia. Cezarowie umieją narody porywać za sobą — jak to zrobił pierwszy cesarz Francuzów. Wielopolski mógł być nawet mądrym, choć więcej niż szczęśliwym, politykiem, ale horyzonty jego nie cesarskie były, lecz tylko autonomiczne, a ideologia jego nie obracała się w rozmachach „na śmierć, albo zwycięstwo“, lecz była przystosowana do warunków niewoli. Gdyby nawet usiłowania jego udały się były, naród miałby dla niego podobne uczucie, jakie ma się dla narkotyzującego lekarza, lecz nie byłoby to uczucie, jakie narody mają dla oswobodzicieli i wybawców i także dla tych, którzy porwali się do nieszczęśliwej nawet walki, ale za wolność i niepodległość. Dozorców niewolników, choćby bardzo uczciwych, nie pasujmy jednak nigdy na bohaterów. Zatracenie tej różnicy w ocenie byłoby niewolniczem obniżeniem ideału — *sacra mixta profanis*.

WARCHOLSTWO. ON IV, od czasu, jak zrzucił frak ministeryalny — nie bardzo zresztą dobrowolnie — bawi się znowu w gębowego patryotę, chodzi po wiecach, prezesuje, rywalizuje na dobre z jenerałem Paszkudzkim. Lwowianie — jak wiadomo — mają krótką pamięć. Gdy w swoim czasie ministrowie austryaccy przyjeżdżali do Galicyi, dawali się oglądać przeważnie „po cywilnemu“. Inaczej robił On IV. Wysiadł z salonki w mundurze i pirogu i zmuszał uporczywie rodaków, ażeby przyzwyczaili się do patryotycznego munduru i do czapki z bączkiem. Kto ciekawy, niech zaglądnie do fotografii w ówczesnych pismach illustrowanych. W mundurze nawet kołysał na kolanach owo szczęśliwe dziecię jakiegoś kolejowca, o czem „Słowo Polskie“ pisało z widocznem rozrzewnieniem. Czasy się zmieniły, Lwowianie zapomnieli o mundurze i cieszą się, że pan exminister chodzi „demokratycznie“, własnemi nogami, po wiecach, pokazuje się już bez munduru i pozwala wygadywać przy sobie na solidarność Koła polskiego. On sam pozornie solidarności tej broni, ale z zachowania się organów spółkowych i sprzymierzonego pisma „ludowego“ — poznać nietrudno, że głosy takie są mu bardzo miłe. Poczekajmy niedługo, a zobaczymy inny obrazek. Może bramy sejmowe otworzą się kiedyś i zacznie się naprawdę robota nad reformą wyborczą. Pokaże się wtedy gorącość uczuć demokratycznych u dzisiejszych malkontentów z wszechpolakieryi. Zobaczymy wtedy, że liberalizm ich dorasta miary p. Starzyńskiego i jego „światoburczych światopoglądów“. Stanie się to tak niezadługo, że wszyscy jeszcze chwili tej prawdopodobnie dożyjemy i zgodnie będziemy mogli skonstatować, że cyrk wszechpolski — zarówno przy robocie, jak i w niezadowoleniu — jednakowej jest zawsze miary i wartości,

Ostatniej niedzieli Polskie stronnictwo postępowe urządziło w Przemyślu wiec publiczny w sprawie chełmskiej. Wydawałoby się, że „patryoci wszechpolscy“ uszanują uczciwą robotę, tem więcej, że obecny poseł p. Śliwiński reakcyjnością stosunków krajowych tłumaczył obojętne zachowywanie się w tej sprawie Koła polskiego. Ale to właśnie było kamieniem obrazy dla przemyskich „wyznawców Jego IV i spółki Słowa polskiego“. Przecież dla nich reakcyjność jest właśnie zbawieniem, więc powiedzenie takie uważali za bezpośrednią obrazę. Narobili trochę hałasu, zwłaszcza gdy zakwestyonowano dobroć pomysłów p. Starzyńskiego, na szczęście jednak ogół zebranych nie dał się wyprowadzić z równowagi — i rzecz skończyła się na kociokwiku wszechpolskim. Gdyby kto wymyślał na p. namiestnika, rzecz byłaby w porządku. Panowie endecy gotowiby nawet przynieść na takie zebranie instrumenty muzyczne. Wskazywać jednak na źródło niepowodzenia całej roboty narodowej — to w oczach wszechpolaków grzech śmiertelny — i słusznie! z ich stanowiska — bo któż inny jest tem źródłem zatrutem, jeżeli nie panowie wszechpolacy.

Dalecy jesteśmy od aprobowania konserwatywnej roboty p. Bobrzyńskiego, tem jednak dalsi jesteśmy od brania na seryo całej tromtadracyi endeckiej. Nie miłość kraju, ani światopogląd demokratyczny każe wszechpolakom ujadać na namiestnika i prezesa Koła, ale jedynie i wyłącznie brzydki interes partyjny, dla sprawy narodowej jeszcze szkodliwszy, niż całe barbarzyństwo ciemnoty konserwatywnej. Konserwatyzm na długo obstać się nie potrafi, ale bałamuctwo i przewrotność endeków zabijają serca i mózgi. Dlatego nie przestaniemy udowadniać im na każdym kroku ich komedyanctwa i warcholstwa.

WOLNA SZKOŁA (zeszyt X za październik) zamieściła następujące artykuły: Idea organizacyi nauczycielskich (Nemo), Międzynarodowa Liga dla racyonalnego wychowania dzieci, Samodzielność a życie towarzyskie (K. D.), Pierwszy międzynarodowy Kongres pedologiczny (Stg). Wybornym wprost dla scharakteryzowania klerykalizmu w szkolnictwie austryackim jest list prof. Dra W. Raudnitza: Dlaczego zostałem prywatnym docentem? Pokłosie pedagogiczne i Przegląd podają szereg aktualnych, przeważnie bardzo interesujących, notatek i wiadomości.

Z RAPTULARZA.

UZUPEŁNIAJĄCE WYBORY do parlamentu odbyły się 28. XI. w Drohobyczu i Złoczowie. W Drohobyczu zwyciężył ponownie znaczną, choć zmniejszoną (o 600 głosów) większością kandydat urzędowy, dr. Löwenstein. W Złoczowie wybrano w miejsce p. Breitera nieznaczną większością zwolennika jego, Reizesa. Kontrkandydatem jego był eksminister, dr. Dulęba.

PRACE PARLAMENTU AUSTRYACKIEGO niezbyt postępują. Wnioski antydrożyźniane Rennera, Webera, i Jerżabka upadły skutkiem odpornego stanowiska Stürghka. Większość parlamentarna nie podjęła rzuconej przez rząd rękawicy. Hulają za to po parlamencie rozwydzone instynkty szowinistyczne. Skutkiem prowokującej Czechów mowy osławionego ministra sprawiedliwości Hochenburgera, przyszło znowu między posłami czeskimi a niemieckimi do karczemnej awantury.

PO KONFLIKCIE MAROKKAŃSKIM uspokaja się zwolna opinia europejska. Teraz dopiero skonstatować można, że wojna wisiała, podobnie jak w 1909, na włosku. Do pokojowego rozwikłania konfliktu przyszło głównie dzięki brakowi gotowości wojennej, zarówno u Niemiec, jak i Anglii. Po świetnym tryumfie trójporozumienia dają oba gabinety wyjaśnienia swoim parlamentom. Mowa kanclerza angielskiego Greya, utrzymana w stanowczym, ale pełnem umiarkowania tonie zaznacza szczerze pokojowe stanowisko Anglii, ale i gotowość wystąpienia zbrojnego w razie naruszenia żywotnych interesów, bądź W. Brytanii, bądź Francji, lub Rosyi. Stanowisko gabinetu znalazło poparcie całej izby gmin.

W WOJNIE WŁOSKO-TURECKIEJ odnieśli Włosi pierwsze zwycięstwo lądowe pod Trypolisem. Forty Mesri i Hema, utracone z końcem października, są napowrót w ich rękach. Stało się to po całodniowej walce 1500 Włochów z 8000 źle uzbrojonymi Arabami, którzy zresztą wedle bezstronnych źródeł wcale nie upadli na duchu. Włosi posunęli się więc po 2 miesiącach wojny 5 km. od wybrzeża (od głównego miasta kraju Murzuka dzieli ich 900 km.) Sprawa ataku włoskiego na Dardanele znajduje się ciągle w zawieszeniu. Groźba blokady wywołała protest Rosyi. Turcya pospiesznie uzbraja cieśninę.

W CHINACH toczy się walka ze zmiennem szczęściem. Do rewolucyi przyłączyła się Mandżurya, odpadł zato Szanturg z wyjątkiem Czifu. Rząd monarchiczny ogłasza zdobycz najstarszego, ośrodka buntu Wuczanga, ale równocześnie położenie cesarskich w Nankinie pogorszyło się i miasto wpadnie lada dzień w ręce republikanów. W Pekinie i Szangaju obradują dwa parlamenty. Pierwszy, cesarski, obesłało tylko 30 okręgów. Walka zda się mimo zapewnień rządowych długo przeciągnąć.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polsklego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Nakładem Spółki wydawniczej.

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.